Nr. 14. We Lwowie dnia 2. Kwietnia 1899. Rok 7.

# TYDZIEŃ

## Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

# Mickiewicz o Wielkim Tygodniu.*)

*12. kwietnia 1833 r.*

Pewnie w sercach Pielgrzymstwa odezwała się tęsknota do Ojczyzny w ciągu Wielkiego Tygodnia żywiej, niż kiedykolwiek. Przypomniał sobie każdy obchodzenie grobów, nocną uroczystość rezurekcji i wzajemne odwiedziny między znajomymi w miastach, między sąsiedztwem na wsi. Pascha w Polsce jest wielką narodową biesiadą.

W jednym czasie ucztują: bogaci przy stołach zbytkowych, wieśniacy w chatach, i nawet więźniowie w ciemnicach**). Odgłos dzwonków i wystrzały moździerzów rezurekcyjnych ileż obudzają wspomnień narodowych!

Na Litwie i w ziemiach Ruskich, w całym obszernym kraju rozbrojonym i strzeżonym, jedynemi arsenałami naszemi były kościoły, mające po kilka dzwonów i kilka moździerzy wiwatowych. Zdaje się, że wiara przodków naszych, widząc jak dzieciom wszelką broń wydzierano, schowała na nieprzewidziany wypadek tę trochę spiżu w dzwonicach i zakrystjach. Prawda, że jaśnie wielmożni przemysłowcy, wracający z zagranicy, narzekali nieraz na krzykliwość dzwonów; słyszeliśmy ich nieraz radzących przelać spiż nieużyteczny na kotły gorzelniane; ale nie śmieli szturmować do wież kościelnych, szanując to, co nazywali przesądem ludu. — Dzwony zostały i dobrześmy na tem wyszli. Ilekroć w parafji dało się słyszeć hasło powstania, dzwony zstępowały z wieżyc, zostawiając kościoły nieme w żałobie, gromadziły się do arsenałów, skąd przelane na działa, ciągnęły w pole, wzywając lud, jak niegdyś przed ołtarz ofiary mszalnej, tak teraz na plac boju, na ołtarz ofiary narodowej.

W Królestwie kongresowem, zamożniejszem w materjały wojenne, musiano przecież uciec się do dzwonów. Nieszczęściem, tak postępowano w ludwisarni z dzwonami przybyłemi z kraju, jak dyktator z emisarjuszami litewskimi i poznańskimi. Żmudzini w lichem miasteczku, w Worniach, czynniejszą założyli fabrykę lania dział, lecz zbyt rychło nieprzyjaciel przerwał robotę. Z kotłów gorzelnianych nie mieliśmy korzyści w powstaniu. Tylko kruszec poświęcony chwale Najwyższego był przydatny na obronę tego, co jest najwyższem na ziemi—Ojczyzny.

Godna uwagi, że nigdzie w Chrześcijaństwie nie obchodzono tak Wielkiego Tygodnia, jak w Polsce. Naród nasz zdaje się mieć przeczucie, iż to święto cierpień, mąk i zmartwychwstania będzie kiedyś symboliczną uroczystością odrodzonej Polski. Przodkowie nasi radzi byli, kiedy im się zdarzyło stoczyć bitwę w Wielki Tydzień: wróżyli sobie pewne zwycięstwo. Wiele ważnych pamiątek historycznych łączy się do tej epoki: powstanie Warszawy za czasów Kościuszki, powstanie Jasińskiego w Litwie, nakoniec zwycięstwo pod Wawrem i Dębem. Mamy już w kalendarzu narodowym święta na Wielki Tydzień; będziemy je mieli i na dzień Zmartwychwstania!

*) Z »Pielgrzyma Polskiego«.

**) Jest zwyczaj w wielu miejscach kraju naszego, że gospodarze z dziećmi i sługami niosą w koszach paschę więźniom.

10)

# O Syberji i Kamczatce.

DR. B. DYBOWSKI.

(Ciąg dalszy).

## Stanisław Wroński

**(Malarz)** *)

Stanisław Wroński urodził się w roku 1841 w Lubelskiem, wychowywał się na wsi pod opieką rodziców, którzy go jednak odumarli wcześnie, bo zanim ukończył wychowanie szkolne. Do szkół uczęszczał w Lublinie, stamtąd przeniósł się do Warszawy, gdzie wstąpił do akademji sztuk pięknych, oddając się zawodowi artysty-malarza z zamiłowaniem, albo raczej z namiętnością, właściwą jego naturze porywczej, przyczem obrał dział pejzażów za specjalność, która zdawała się odpowiadać najlepiej jego talentowi wrodzonemu.

Co do właściwości fizycznych, to je w następującym, krótkim zarysie podaję, zaznaczając tutaj tylko, że tak w charakterze swoim, jak i w budowie ciała, przedstawiał Wroński pewne znamiona, właściwe typowi południowo-europejskiemu, lecz one zlewały się w nim harmonijnie z cechami typu miejscowego w całość wielce sympatyczną.

Wroński był niskiego wzrostu, ręce i nogi miał małe, głowę foremnie ukształconą ze wskaźnikiem szerokości = 78 **). Twarz wyrazista, inteligentna, czoło wysokie i szerokie, sprawiały dodatnie wrażenie; kości jarzmowe były mało wystające, stąd lica wąskie; nos prosty, kształtny, mierny, usta pełne, podbródek zeszczuplony; włosy gęste, obfite, lekko w pukle zwinięte od natury, ciemne, prawie czarne, ze słabym odcieniem szatynowym, były zawsze starannie trefione. Brwi czarne, gęste, łagodnym łukiem zatoczone i oddzielone od siebie przestrzenią szeroką, ocieniały wraz z rzęsami długiemi, czarnemi — oczy mocno wypukłe, koloru modrego bławatka, szeroko otwarte, krótkowidze *). Zarost twarzy był obfity, ale starannie codzień golony, z wyjątkiem wąsów sumiastych, szatynowych i takiegoż koloru hiszpanki, artystycznie przystrzyżonej. Rumieńce na twarzy były silnie uwydatnione. Piegów nie miewał wcale.



Z fotografji zdjętej w Irkucku 1875 r.

O powierzchowność swoją, jako artysta, dbał Wroński wielce, tę cechę podzielał on wspólnie z naszymi malarzami. Ubierał się też zwykle z możebną, w danych razach, elegancją, bo nawet i wtedy, gdy w trakcie robót przymusowych na Syberji, w zakładzie karnym w Siwakowej nad Ingodą, kazano jemu i innym obecnym tam malarzom (np. Kossakowi), ze względu na ich zawód artystyczny, smarować dziegciem statki rzeczne („Barże“), świeżo zbudowane. Szedł on na te roboty wprawdzie z „maźnicą“ i „kwaczem“, ale ubrany z całą elegancją artysty, mając zgrabny „melonik“ na głowie i rękawiczki warszawskie na rękach. Taka dbałość o estetykę w ubraniu w zwykłych wypadkach zdwajaną bywała u niego pod wpływem wzroku płci nadobnej, która miała w osobie Wrońskiego zawsze i wszędzie szczerego i wdzięcznego wielbiciela i hołdownika, jak to zazwyczaj ma miejsce u naszych artystów i poetów.

Jakkolwiek zamiłowanie do zawodu malarza i namiętność, z jaką się jemu oddawał, sta-

*. Na Syberji było kilku Wrońskich, a jeżeli się nie mylę, to nawet dwóch Stanisławów. Ten, o którym mowa obecnie, znany był powszechnie pod mianem „Malarza“. Wielu nie wiedziało nawet o właściwem jego nazwisku, lecz wszyscy znali „malarza“.

**) Jadąc na Kamczatkę, gdym bawił czas jakiś w Irkucku, mierzyłem Czerskiego. Wroński był wtedy obecny i przy tej okoliczności poddał się chętnie wymiarom.

*) Pomimo bardzo krótkiego wzroku, nie mógł nosić okularów, bo one męczyły zbyt silnie jego oczy.

nowiły rys znamienny osobistości Wrońskiego, lecz nie pochłaniały jej w całości, przeciwnie było tam miejsce i dla innych upodobań, zwykle także namiętnie uprawianych.

Z życiem ówczesnej młodzieży warszawskiej zrósł się Wroński tak dokładnie, że uchodził zawsze za typowego Warszawiaka. To też, jak przystało na takiego, ukochał gród syreni całem sercem i całą duszą; poza Warszawą nic nie widział i widzieć nie pragnął, ona stała się dla niego rodziną, ojczyzną, światem całym, a nawet w myślach o raju była mu ciągle przed oczami. „Nie jestem kosmopolitą — powiadał — dla mnie i w niebie musi być Polska, musi być Warszawa“. Żartowano też z niego, utrzymując, że gdyby mu przyszło malować niebo z jego mieszkańcami, to pewnieby w perspektywie umieścił ogród Saski, Przedmieście krakowskie, Nowy Świat, albo Łazienki i Aleje Ujazdowskie, a zamiast aniołów całe grupy ubóstwianych Warszawianek, tylko, oczywista rzecz, bez skrzydeł, bo ten symbol życia powietrznego, niepasujący wcale do budowy ciała człowieka, raził jego zmysł artystyczny nienaturalnością, jak ją nazywał indyjską.

Ciągła potrzeba obcowania towarzyskiego z kolegami, dzielenie się z nimi myślami i uczuciami, była namiętnością wrodzoną Wrońskiemu, który nie mógł znieść samotności. „Wolałbym szubienicę z kolegami — mawiał — niż życie więzienne lub pustelnicze“. Dzień cały oddany kształceniu się w obranym zawodzie, wieczory spędzał w gronie kolegów na wesołych pogadankach. Wspomnieniami tych chwil, tak drogich dla niego, dzielił się z nami nieraz, gwarząc wieczorami przy ognisku podczas wycieczek w góry Bajkalskie, dokąd towarzyszył nam kilka razy, zajmując się pilnie studjami z natury, dla swoich pejzażów górskich.

Naukami, stojącemi poza granicą swych specjalności, nie zaprzątał się Wroński „Miał — jak się wyrażał — jeden język, ale dobry“, znał jedną historję „swoją“, pełną przykładów poświęcenia i porywów wzniosłych, szlachetnych, ale bez wszelkich cieniów ujemnych. O złych stronach przeszłości nigdy nie mówił, a nawet nie lubiał słuchać o nich opowiadań. „Matejko Targowicy malować nie będzie — powiadał. Cnoty nie z występków uczyć się powinniśmy. Zły przykład jest zaraźliwy nawet wtedy, gdy służy za straszaka“. Historję tę „swoją“ uplastyczniał w umyśle i mowie za pomocą obrazów w rodzaju Matejkowskich, one pasowały najlepiej do jego usposobienia artystycznego, w opowiadaniach więc swoich posługiwał się zawsze pędzlem Matejki. Mistrza krakowskiego uwielbiał i stawiał wyżej od wszystkich naszych artystów, „bo nikt tak duszy człowieka oddać nie potrafił, jak on“. Wpatrując się z zachwytem w reprodukcje obrazów mistrza uwielbianego, mawiał, że mu się chce płakać z Kochanowskim i Zygmuntem, a gromić ze Skargą. Z pejzażystów cenił najbardziej Szwajcarów, bo są najmniej manierowani, zachwycał się pejzażem w obrazach Siemiradzkiego, dla jego „nieporównanej perspektywy powietrznej“.

Język i styl, którymi się posługiwał Wroński, były jędrne, oryginalne. Usposobienia zawsze wesołego, jak większa część zdrowych na ciele mazurów, tryskał, jak i oni, wrodzonym humorem. Nie sadził się nigdy na dowcipy, same one przybiegały mu na usta. Znałem wielu Warszawiaków, co również, jak i Wroński, posiadali w duszy niewyczerpany zdrój rodzimej szczerej fantazji, humoru i dobrodusznej ironji, to też ludzie tacy umilają tym darem nieba życie sobie i współtowarzyszom. „Jednego Warszawiaka stać za tuzin innych“ — powiada znane na Syberji przysłowie, dlatego to każdy, co żył w Warszawie, polubić ją musiał i tęsknić za nią będzie.

Z innej znowu strony znałem kilku Warszawiaków, jak np. Hohauzera, straconego na stokach cytadeli, którzy nawet pod pięściami rozwścieczonych indagatorów z komisji śledczej, haniebnej pamięci Tuchołki i Zdanowicza*) skrępowani na rękach i nogach, krwią własną oblani, z całą grozą szubienicy przed oczami — nie przestawali smagać ironją swoich oprawców. Wiek nawet podeszły mało wpływać się zdaje na takie żartobliwe, pełne humoru, usposobienie Warszawiaków. Tak np. staruszek Stattler, stawiony przed sąd wojenny w cytadeli warszawskiej i pytany dla proformy tylko, jak powiadają zwykle Rosjanie, czy ma pretensje do komisji śledczej, czynnej i tronującej na Pawiaku, odparł z pozorną dobrodusznością: „A któżby miał tym szlachetnym, zacnym i trzeźwym osobom cośkolwiek do zarzucenia? Pamięć o ich delikatności nosić zawsze będę w sercu, a pamiątkę po nich noszę w tem oto pudełku, gdzie przechowuję zęby, powybijane mi przez Tuchołkę i Zdanowicza“. Jakkolwiek wiedział Stattler, że mu za tę ironję sąd wojenny doda niezawodnie co najmniej parę lat katorgi, nie mógł jednak od niej się powstrzymać.

Wśród ciężkich prób, przez które przechodził, Wroński umiał zawsze zachować swobodę myśli i żartobliwość słowa. Opowiadając o zdarzeniach, wykazywał z pewnym odcieniem lekkiej ironji komizm danej sytuacji, i kreślił wypadki, jak gdyby malował pędzlem, tak wyraziście i wypukle występowały one przed umysłem słuchaczów. Dziwił się zawsze, że Rosjanie

*) Tę komisję, sławną z chciwości, zwierzęcości barbarzyńskiej i alkoholizmu, nazywali żołnierze i żandarmi „dienieżną“ (pieniężną) albo „pijaną“ komisją. Oprócz smagania rózgami w osobnej sali, pełnej przyborów kaźni i oprawców z gwardji rekrutowanych grubo piaskiem wysypanej, ażeby krwią ofiar podłogi nie walać, bito indagowanych pięściami w twarz, przy czem przywiązywano często ofiary oporne do kraty, która przedzielała salę indagacyjną. Niekiedy nawet takiego katowanego trzymał jeszcze żandarm z tyłu za ramiona, dla zupełnego bezpieczeństwa oprawcy.

nazywają malowanie pisaniem, albowiem według jego zdania raczej opisy na miano malowania zasłużyć byłyby powinne, czyż bowiem „takie barwne obrazy, jak kreślone piórem Mickiewicza, nie są prawdziwemi malowidłami?“.

Wroński nie lubił czytywać książek a nawet nie mógł, bo czytanie męczyło mu niezmiernie oczy, zwykłe zaś powieści, gdy mu je czytano, nazywał nienaturalnemi, stąd też nie wielu autorów, do których w pierwszym rzędzie należał Lam, zaszczycał swojem uznaniem. Z poetów uwielbiał Mickiewicza, podobały się mu też wiersze Rodocia, a zwroty w poezji erotycznej, przypominające zacięciem swojem sarkazm Hejne'go, zachowywał chętnie w pamięci, to też słyszałem parę razy, jak powtarzał wiersz następujący:

Poszedłbym za nią do nieba,
I poszedłbym za nią do piekła,
Gdyby nie była z drugim uciekła.

(Dalszy ciąg nastąpi).

14)

# Bunt Napierskiego.

## Poemat dramatyczny.

**Salka Nieznana.**

I to być może... Jest Czepiec na świecie
i po wiek wieków zostanie... Lecz nigdy —
nigdy bohater, idący na poprzek
średnicy ziemi, Czepcom nie ustąpi...
A takie bywa ludzkie przeznaczenie,
że nieraz skon swój uwalniamy z stryczka,
by się tem prędzej przybliżył...

**Napierski.**

Wiesz o tem,
żem ja uwolnił Czepca od pętlicy?...
Skon odwiązała ze stryczka ta ręka!

**Salka Nieznana.**

Żaden bohater skonu się nie lęka...
A może... Boisz się Czepca?... Więc dalej!...
sprzątnij go z drogi... Nie! nie! dom się pali!...
Cała ta zgraja stanie przeciw tobie!...
Zresztą — odpowiedz: czy na ziemskim globie
jeden jest Czepiec?...

**Napierski** (po chwili.)

Ha! gdyby to człowiek
posiadał w duszy moc niepowstrzymaną,
aby mógł dążyć milami do celu!...
On wielką żądzą chce ogarnąć ziemię,
a kroki jego mierzą się — na łokieć.
Giętkie ramiona do lotu rozkłada,
złudę — olbrzyma uczuwa w swem wnętrzu,
a po podwórku skacze, jak ten wróbel,
któremu ptactwo, takie, jak on liche,
umiało pióra wydziobać ze skrzydeł...

**Salka Nieznana.**

Zaczynasz znowu mędrkować... Czy sądzisz,
że mędrkowaniem rozbudził Chmielnicki
tę straszną trwogę?... Czy sądzisz, ty starcze,
z poza katedry nie widzący tronu,
iż mędrkowaniem on zawiódł swe tłumy
do takich zwycięstw, że jeszcze po wiekach
piać o nich będą krwawe, dzikie pieśni
siwi lirnicy, siadłszy na kurhanach,
kryjących zmarłą waleczność rycerzy,
co tutaj byli ciemiężcami ludu?...

**Napierski.**

Chmielnicki wrogiem — i kraju i — ludu —
i nie o jego myśli on zbawieniu...

**Salka Nieznana.**

Więc ty go zbawiaj! ty lud ten wyprowadź
na wielkie światło — i niech w jego blaskach
tron twój jaśnieje!...

**Napierski.**

Nie mów mi o tronie,
dopóki żyje stryj!...

**Salka Nieznana.**

Twój stryj?! Hahaha!
Ty lud wybawiaj i nie drżyj! Wybawiaj
lud z tego jarzma, które kraj ten gubi — —
wybawiaj lud ten — —

(Drzwiami od dziedzińca wchodzi)

**Łętowski.**

Panie pułkowniku!
Jędrek Mocarny, co szedł na przeszpiegi,
wrócił i mówi, jako od Krakowa
z panem Jarockim idą już biskupi.
Mają się w drodze złączyć z Łubowiedzkim
i wraz uderzyć na zamek... Dzień jeden
lub dwa najwyżej, a będą przy fosach.

**Napierski.**

Trzeba ich przyjąć... niech Jaśko Jarząbek
i syn wasz, panie marszałku, a zasię
wierny przyjaciel mój i druh, wraz z swymi
opuszczą zamek i pójdą naprzeciw
księżych dragonów... Trza im odciąć drogę...
Czepiec zostanie...

**Łętowski.**

Za mało nas będzie...

**Napierski.**

A czem twe męstwo, marszałku?... Wystarczy!
z czterokroć mniejszą garstką odparłem
szturm Jordanowy...

**Łętowski.**

Kiedy ma wystarczyć,
to juścić musi... Pożreć się nie damy.

**Napierski.**

Umocnić baszty i czuwać... Ja będę
gotów.

(Łętowski odchodzi.)

**Napierski** (do siebie.)

Nie zadrżę! nie! nie!

(do Salki.)

O, nie zadrżę
i lud ten wolnym uczynię!... Na tory
wszedłszy chwalebne, z nich się już nie wrócę,
choćby u kresu była ciemna brama
straszliwej śmierci!...

**Salka Nieznana** (z zapałem.)

Tak mówi bohater!
Widać, że w tobie krew płynie królewska!
Lew się obudził i grzywą potrząsa!...
Z pokutnym sznurkiem na szyi, nie pójdziesz
błagać o litość, ty, synu królewski!...

(Wchodzi Zdanowski, drzwiami od lewej, powoli, z śladami głębokiej troski.)

**Salka Nieznana** (do Zdanowskiego.)

Aj! co ja widzę!... panie podstarości!
Znasz swój interes!... Na zamek czorsztyński
z osełką masła przyszedłeś i z serem...
Widno, jegomość przewąchał, że dosyć
będzie różnego tu luda... no, ile
poszło gomółek?... A może pan handlarz
zmienił się naraz — anoć — w bohatera!?
Winszuję! bardzo winszuję!... O cuda
dzisiaj nie trudno...

**Zdanowski** (do Napierskiego.)

Panie pułkowniku!
Stara żebraczka, przyjaciółka twoja,
nie będzie mi tu urągać bezkarnie —
chocia-m u ciebie w gościnie...

**Salka Nieznana**

O, idę!
Stara żebraczka dosyć ma już sińców
na krzywym grzbiecie, nie chce — nowej krzywdy

(do Napierskiego, zabierając się ku drzwiom środkowym.)

Mości Napierski! przejasny hetmanie!
twa skrzętna pszczółka idzie w świat, na wrzosy,
a ty pamiętaj: w dziedzińcu czorsztyńskim
nie ma wróblików... Ku wawelskiej wieży
lub do Warszawy!...

**Napierski** (za odchodzącą.)

Zostań!...

**Salka Nieznana**

(we drzwiach, odwrócona ku scenie.)

Nie, nie mogę.
Raz przeznaczenie, u siebie samego
będąc za sługę — — Tutaj niech się spełni,
co się ma spełnić... (znika.)

**Napierski.**

Ha!...

(Po chwili do Zdanowskiego.)

Spocząłeś, ojcze?

**Zdanowski** (milczy.)

**Napierski.**

Powiedz, spocząłeś?

**Zdanowski.**

Zaprzaniec lub człowiek
któremu serce zjadła lekkomyślność,
mógłby pamiętać dzisiaj o spoczynku...

**Napierski** (zmieniając ton, poirytowany.)

Nie wiem, dla czego?... Nie rozumiem waści.

**Zdanowski.**

Panie Napierski!... Druh twój, łotr Gosławski,
wydał twe listy...

**Napierski.**

Co?... Co?...

**Zdanowski.**

I dzisiaj wszyscy
wiedzą już o tem, żeś zdrajca... Najemnym
służalcem Chmiela jesteś!...

**Napierski.**

Bardzo proszę!
Zmityguj-że się... Przed chwilą myślałem,
żeś jest pijany, ale teraz widzę — —

**Zdanowski.**

Że jestem trzeźwy... O tak, straszna trzeźwość...
Znasz Chmielnickiego?... Powiedz!

**Napierski.**

Znam.

**Zdanowski.**

Dla niegoś
lud ten zbuntował?!...

**Napierski.**

Nie! dla ludu!... Chmiela
zdepcę, jak płaza, — tą nogą!

**Zdanowski.**

Ty — kłamco!

**Napierski.**

Racz waćpan milczeć!...

**Zdanowski.**

Dla ludu — ażeby
mógł już bezkarnie palić i rabować...

**Napierski.**

Przywilej wojny.

**Zdanowski.**

Z kim prowadzisz wojnę?

**Napierski.**

Z kim?... z ciemiężcami!

**Zdanowski.**

Dla siebie?

**Napierski.**

Być może.

**Zdanowski.**

I tak spokojnie to mówisz?!... O rzuć to
piekielne dzieło!... Patrz!

(rzuca się na kolana.)

Ja, siwy człowiek,
klękam przed tobą! błagam cię: o nie gub
siebie i kraju!

**Napierski.**

Wstań! Nie myślę gubić!

**Zdanowski.**

Przyszedłeś do mnie pod nędzną mą strzechę,
i jam cię przyjął na serca uciechę,
bom wierzył słowu, co z ust ci płynęło,
zapowiadając wielkie, święte dzieło.
Ale niestety! dziś dopiero widzę,
że to był gorzki jad, którym się brzydzę...
Ta dziwna wiedźma, co się przekomarza
z swem bezpieczeństwem, dała mi handlarza
tytuł przed chwilą... Prawda! Ależ jednem
wszak nie handluję: mem sumieniem biednem!
I ty nie handluj! zejdź z tej ścieżki krętej
i nie dokładaj wiorów pod zajęty
stos ten ogromny, na który wrogowie
chcą rzucić ciało Rzeczypospolitej...
Posłuchaj synu, co ci starzec powie:
boisz się kary: Jest jeszcze obfity
zdrój przebaczenia... Ukorz się mój synu!
Ukorz się, ukorz!...

**Napierski.**

Nigdy się królewski
syn nie ukorzy...

**Zdanowski.**

Czyj ty syn?... królewski?!

**Napierski.**

Władysławowy!

**Zdanowski.**

Ha! jeśli-ć to prawda,
jeżeli królów ślepa lekkomyślność
jest twym początkiem — słuchaj: ojciec, ojcem,
więc dziś przez pamięć i przez cześć dla niego
zaprzecz, o panie! że on spłodził — zbrodnię!

**Napierski.**

Nie zbrodnię spłodził, tylko krzywdę... Powstań!
Pójdę na przebój z moim wiernym ludem,
jak ja, skrzywdzonym.

**Zdanowski**

(zrywając się z ziemi; jednym ruchem dobywszy szabli)

A więc giń, ty łotrze!

(rzuca się na niego.)

Błogosławioną będzie ręka starca,
która przeleje krew podłego zdrajcy
i kraj wybawi od sromotnej klęski.

**Napierski**

(dobytem rapirem paruje cięcie.)

Mości Zdanowski! nie jak zbój!... Otwarcie
zmierzyć się ze mną!... Nie jak zbój!...
krew twoja — —

(Biją się, Napierski wytrąca szablę Zdanowskiemu, raniąc go w rękę.)

**Zdanowski.**

O Boże! zdrajca szablę mi wytrącił
z osłabłej dłoni, co przeciw podłości — — —

(Na brzęk szabli wpada z lewej)

**Hanusia**

(spostrzegłszy krew na Zdanowskim)

Tyś krew niewinną przelał, Janosiku!...
Ojciec mój chrzestny — ranny!... siwy starzec!...

(Podbiegłszy ku drzwiom oszklonym i nagle je otwarłszy)

Ludzie! Janosik przelał krew niewinną!

(Wpadają) **Junacy.**

Kogo tu ratować?

(spostrzegłszy Napierskiego, który z dobytym, błyszczącym rapirem w ręku stoi na środku pokoju.)

Nasz hetman cały!... Cudną ma szabliczkę —
tysiąc hajduków otrząśnie ze siebie...

**Napierski**

(do Junaków, wskazując na Zdanowskiego.)

Imć pan Zdanowski oszalał...

(wskazując ku drzwiom po lewej.)

Tam! do tej
wziąść go komnaty, trzymać go pod strażą,
byle szanować jego włos...

**Zdanowski**

(idąc pod strażą ku drzwiom, odwraca się i wskazuje ręką na Napierskiego.)

Ten zdrajca
pragnie być królem!...

**Napierski**
(w majestatycznej postawie, stoi przod junakami.)

**Junacy.**

A niech nam króluje!
Króluj nam, króluj!... Janosik z mogiły
powstał i — żyje — — i będzie królował —
Króluj nam! króluj — — — —!

*Zasłona spada.*

(Po zapadnięciu kurtyny słychać jeszcze zamierające okrzyki w dziedzińcu.)

*Jan Kasprowicz.*

(Ciąg dalszy nastąpi).

6)

# Z wycieczki do Słowacji.

(Ciąg dalszy).

Nie inaczej widział i przedstawił rzecz całą Agaton Giller w swej „Podróży po kraju słowackim“.

— „Jeżeli nie ze wspaniałomyślności — mówił on do jednego ze słowaków, to dla interesu własnego powinni madziarowie wam dać to, o co się upominacie.“

— Nie mają oni—odpowiedział mu słowak— tego wielkiego rozumu stanu, jaki im cały świat, złudzony powodzeniem polityki Deaka, przyznaje; nie możemy więc spodziewać się od nich ustępstwa dobrowolnego i wykonania rad Eötvösa, tyczących się równouprawnienia narodowości. Wszelkie nadzieje, pokładane w dobrej woli madziarów, są niedorzecznością.

Jakoż Giller wkrótce się o tem przekonał z rozmowy z jakimś dostojnikiem, madziarem. Według tego pana każdy słowak, pracujący dla oświaty narodowej i dla wzbogacenia piśmiennictwa ojczystego, jest panslawistą i zdrajcą kraju. „A przytem—mówił on—niema obawy, aby słowacy, jako lud powolny i wielce potulny, upomnieli się o swe prawa orężem. To nie chorwaci, ani też wogóle słowianie południowi. To też, gdy uczynimy jeszcze nieszkodliwymi księży, którzy sami jedynie przemawiają za słowacką narodowością, nie będzie w tym kraju żywiołu zdolnego do oporu. Przyznasz pan, iż przy takim stanie rzeczy, będąc pewnymi zwycięstwa, zrobilibyśmy najgorzej, gdybyśmy, kierując się sentymentalnością lub też miłością doktrynerską tak zwanych wielkich zasad, pozbawiali się dobrowolnie pewności wynarodowienia słowaków i nie przeprowadzili narodowej jedności Węgier. Państwo nasze będzie silne wtedy dopiero, gdy się będzie składało z jednego, jednym językiem mówiącego narodu: madziaryzowanie więc jest polityką rozumną i konieczną dla nas.“

Czy i ile postąpiła madziaryzacja od tego czasu, od lat dwudziestu pięciu, trudno orzec. Bądź co bądź Słowacja, jako naród, żyje i działa. Najlepszym dowodem jej dzienniki, broszury, książki, stowarzyszenia artystyczno-literackie, ofiary z krwi i majątków, wreszcie stopniowe uświadamianie się poczucia narodowego w ludzie, a trzy miljony narodu, który przez tyle wieków zachował swoje cechy plemienne, nie tak łatwo połknąć, nawet z papryką.

„Dom“ powstał niedawno, a mimo to zbiory etnograficzne, archeologiczne, artystyczne, wypełniają kilka sal na pierwszem piętrze. Bibljoteka przedstawia się okazale. Niezależnie od kompletu dzieł, książek i broszur w języku słowackim, istnieją działy literatury wszechsłowiańskiej. Ku wielkiemu wstydowi naszemu w bibljotece świętomarcińskiej znaleźliśmy zaledwie kilka książek polskich. Ani wydawcy nasi, ani nasze instytucje naukowe nie spieszą z darami. „Boć to wszystko dary“ — mówi napół z dumą, napół z rozrzewnieniem p. Hurban, oprowadzając nas po salach, w których pełno już wykopalisk, starych druków, cennych sztychów, odwiecznych koronek, bogatych strojów ludowych, wreszcie zbiorów numizmatycznych. W jednej z sal pracuje profesor Klemens Czermak archeolog, który umyślnie przyjechał z Czech, aby obejrzeć, obmierzyć, odrysować, opisać jakąś skorupkę malowaną w czerwone pasy, podobno wykopalisko z przed tysiąca lat. Ma ona dowodzić bytowania słowian na tej ziemi w owym czasie. Myśmy ją wzięli początkowo za zwykłą skarbonkę glinianą z odtrąconym wierzchem.

Chcieliśmy się zapisać na członków „Musealnej slovenskiej społocnosti“, lecz prawo, wyłączające obcokrajowców od udziału w dziele cywilizacyjnem słowaków, stanęło temu na przeszkodzie.

O dwunastej w południe znaleźliśmy się w piwiarni. Nowe grono inteligencji, nowe znajomości. Co za rozmach temperamentów, co za rozpęd myśli! Chcemy złożyć hołd Światozorowi Hurbanowi, jako najwybitniejszemu dziś poecie słowackiemu, piszącemu pod pseudonimem Vajanskiego.

— Nie czas na poezję — odpowiada tym tonem, w którym czuć człowieka czynu. Kto

wie czy to nie racja i Chmielowski dla mocy przytoczył Słowackiego „Lillę Wenedę“:

„Nie czas żałować róż, gdy płoną lasy!“

— Wiecie, że Bismark umarł?

Tak jest: W ś-ym Marcinie Turczańskim dowiadujemy się o śmierci żelaznego księcia, męża stanu, który państwo przenosił po nad ludzkość.

Wprawdzie słowacy poznali na swojej skórze pazury reakcji giermańskiej za czasów panowania systemu Schmerling'a, wszystko to jednak jest dla nich niczem w porównaniu z molochem „liberalizmu madziarskiego“; nie można zatem dziwić się, iż niemcy nie przerażają ich ani potęgą swoich pięści, uzbrojonych w żelazo, ani swemi prawami wyjątkowemi przeciwko polakom. Zresztą pożar w cudzym domu jest tylko obrazem malowniczym; dopiero w swoim tchnie tragedją. To też Bismark dla słowaków jest „postacią nadżywotną“, „mężem wielkim, który rzeszę niemiecką odbudował żelazem i krwią, unicestwieniem starych form“. Był on, co prawda, „wrogiem narodów romańskich i słowiańskich“, ale „słaba ręka nie dokona dzieła wielkiego“, zresztą „drewnianym nożem można krajać tylko masło“.

Zapoznajemy się z Pawłem Mudroniem, wydawcą *Narodnich nowin*. Co to za stosunki idealne! Pomiędzy autorami a wydawcami niema rozdźwięku: jedni przynoszą narodowi w ofierze pracę literacką, a drudzy pieniądze, zdobyte przedtem pracą umysłową, sztuką jakąś czy rzemiosłem.

Paweł Mudroń przez kilka lat z rzędu stawiał kandydaturę swoją na posła z komitatu turczańskiego, ale zawsze był zmuszony uledz presji tak zwanej partji liberalnej.

Kiedy w roku 1878 szala wyborów przechylała się zbyt wyraźnie na stronę Mudronia, odraczano od dnia do dnia wybory, bądź z powodu braku miejsca, chroniącego wyborców od słoty, bądź z powodu braku aktów odpowiednich. W chwili stanowczej przewodniczący komisji wyborczej wyraził swoje powątpiewanie, czy on jest przewodniczącym, i ostatecznie wybory odroczył. Przy wyborze powtórnym zwyciężył, jak przewidzieć można było z góry, madziaron. Wybór był nieformalny i słowacy wystosowali skargę. Wtedy kazano im złożyć 2000 złr. na koszta komisji weryfikacyjnej, która jednak znalazła wszystko w porządku. Słowacy musieli jeszcze dopłacić pewną kwotę na pokrycie kosztów.

„Zapalczywość w madziaryzowaniu, pisze jeden ze znawców stosunków tutejszych, posunęła się w ostatnim czasie do tego, iż sędziowie, którymi minister sprawiedliwości mianuje jedynie madziarów, potępiają najsłuszniejszą sprawę, jeżeli broni jej adwokat słowak, znany z miłości do literatury ojczystej, a podejrzywany o patrjotyzm słowacki. Takiem postępowaniem zagradzają słowakom drogę do adwokatury; lud bowiem, wiedząc, że adwokat słowak przegrywa najlepszą sprawę dlatego tylko, że jest słowakiem, zaczął udawać się do adwokatów madziarów, żydów lub niemców, jako nie podlegających politycznemu ostracyzmowi. Adwokaci słowaccy, pozbawieni tym sposobem dochodów, muszą szukać innego sposobu do życia.“

*Antoni Sygietyński.*

(Ciąg dalszy nastąpi).

## Z pism i książek.

Najnowszy zeszyt „*Przeglądu filozoficznego*“ (za Styczeń, Luty i Marzec) rozpoczyna rozprawa Dr. L. Gumplowicza: „Socjologiczne pojmowanie dziejów“. Po niej idzie ciąg dalszy pracy dr. Wład. Heinricha „O stosunku pojęć i zasad fizycznych do filozofji“. Wł. M. Kozłowski rozpatruje w swym artykule „Psychologiczne źródła niektórych praw przyrody“. W „Kronice“ S. Bukowiecki rozpatruje „Filozofję prawa J. J. Rousseau'a“ podług najnowszych opracowań Liepmann'a i Haymann'a. Sporą część omawianego zeszytu wypełnia obfity dział autoreferatów, krytyki i sprawozdań, oraz przegląd czasopism.

*Prawda* warszawska omawia w najświeższym swoim „Przeglądzie muzycznym“ wykonanie na symfonicznym koncercie w Teatrze Wielkim w Warszawie „Sonetów Krymskich“, ułożonych, jak wiadomo, przez Moniuszkę na orkiestrę, chóry i głos solowy.

„Pierwszy raz — czytamy w wymienionem piśmie — to dzieło poetyckiego i lirycznego nastroju było wykonane za życia nieśmiertelnego naszego pieśniarza. Od tego zaś czasu, pomimo, że upłynęło już przeszło lat trzydzieści, wykonano je w całości zaledwie parę razy.

Komuż są nieznane piękne strofy „Sonetów“ Mickiewicza?

Moniuszko wybrał z nich najbardziej podatne, dzieląc całość na trzy części.

Pierwsza ilustruje muzyką „Stepy Akermańskie“ (Wstęp), dalej „Ciszę Morską“, „Żeglugę“ i „Burzę“.

Część druga najbardziej liryczna: smętna pieśń „Ruina“, następnie wspaniała „Noc“ i wreszcie podniosły „Hymn“ oddane są z niezwykłą mocą czarującego dźwięku.

Marząca pieśń „Pielgrzyma“, zaczynająca się od słów:

„U stóp moich kraina dostatków i krasy,
Nad głową niebo jasne, obok piękne lice:
Dlaczegóż stąd ucieka serce w okolice
Dalekie i — niestety! — jeszcze dalsze czasy?“

a następnie „Epilog“, rozmyślanie poety, stanowią część ostatnią tego wspaniałego poematu muzycznego“.

Z drukarni K. Wiesnera we Lwowie.